

# KAŻDY MA W SOBIE JAKĄŚ PIEŚŃ...

## Rozmowa z IRENĄ EICHLERÓWNĄ

— „W pełni ukształtowany, indywidualny wyraz aktorski — to właśnie to, co nazywamy stylem... Niepokoi i fascynuje” (Edward Csato), „Najciekawsza indywidualność artystyczna” (Stanisław Marczak-Oborski), „Wielony diabeł aktorskiej sztuki” (Jan Kott).

„Upajająca... za którą, jak smuga reflektora, szedł po scenie obłok poezji” (Antoni Słonimski). Można tak cytować w nieskończoność...

— Co to za szczęście móc posłuchać sobie prawdziwych poetów! Muszę pani podziękować za te wspomnienia...

— Ale czym jest tak naprawdę ten „obłok poezji”, który sprawia, że publiczność w różnym wieku słucha Pani i patrzy na Panią zafascynowana?

— Jeśli to prawda — to chyba zaśluga publiczności... jej wrodzonej wrażliwości, jej emocji — czy wycucia pewnych spraw, jakby obrazu światów myśli, nie tylko uczuć? Zależy to przede wszystkim od wyobraźni widza. Wyobraźnia — dar największy, najważniejszy — widzi się wiele, oprócz podwór-

ka. A najdziwniejszy jest — ów dobór ludzi na przedstawieniu, obcych sobie grzezień... Czasem jest tak cicho — nie do uwierzenia — jakby nikogo nie było. Wtedy ogarnia człowieka lęk, prawdę... I naprawdę przypomina się Kościół — wszyscy wiemy, teatr wywodzi się z kościoła... Tam właśnie ludzie normalnie kaszla, wycierają nos, czy wzdychają — i nagle robi się cicho... Czy się czegoś oczekuje? Czy coś nas łączy?

— Pozornie prosta sprawa — czym jest dla Pani aktorstwo?

— Dla mnie? To wielki repertuar mojego życia. Zresztą nie myślałam o tym, nie zastanawiałam się... Wiele spraw w pracy teatralnej było i jest dla mnie jakos naturalnie prostych, „tak powinno być” albo „nie powinno być”. Instynkt również odgrywa swoją rolę. I nie sądzę, aby kiedykolwiek odpowiadała mi głupota kabotyństwa czy innych wykrzywień psychicznych. W pracy na ogół wszystko wydaje się jakies proste, logiczne — są to chyba cechy

wrodzone, indywidualne. Oczywiście jestem z nich zadowolona, to zdrowe, normalne chyba. A zresztą, teatr to pewna forma wypowiedzi, poczucie tragizmu czy komizmu życia, to jakby jakies korki automatyczne. Wiele się czyta o elektryczności i w różnych dziełach teatralnych. Nikt znowu tak bardzo się nie dziwi kompozytorom, malarzom czy rzeźbiarzom — zapewne każdy ma w sobie jakąś pieśń, którą „wyspiewuje”? Nie wszyscy widzą czy słyszą zaraz...

— Jakie instrumenty, mówiąc umownie, winien mieć aktor?

— Chyba najlepiej wszystkie. Dobrze byłoby! Chciałoby się do raju, ale nie ma go.

— Jakie kryteria stosowała Pani i stosuje przyjmując rolę?

— Trudno mówić o kryteriach... Różne sprawy podobają się, inne nie... Jak to zwykle.

— Była Pani uczennicą i największą dumą wielkiego Zelwerowicza. Jak wspomina Pani pracę z nim, co było

najważniejsze w jego sposobie edukacji?

— Przed wojną były w teatrze „olbrzymy”... ludzie zdrowi, wprost potęgi. Zelwerowicz należał do nich. Umiał słuchać i nic nie mówić, mimo swego wybuchowego temperamentu umiał wyciągać wnioski. Niezwykły — na ogół nie można było przewidzieć, jak zareaguje... Potrafił wysoko cenić swoich wychowanków, jako ludzi również. Przede wszystkim miał swoje metody, aby wyrabiać w nas samodzielność całkowitą w naszej pracy. To było najważniejsze! I nie znosił „taniechy” ludzkiej czy tandety.

— Jak Pani ocenia teatr dzisiejszy — zmiany, jakie w nim zaszły?

— Niedawno odbyło się na jednej z wyższych uczelni zebranie. Zasłużeni docenci i wykładowcy zabierając głos opowiadali o swoich profesorach, stawia-

# KAŻDY MA W SOBIE JAKĄS PIEŚŃ...

dokończenie ze str 1

li ich za wzór, jak ich słuchali, jak się w nich wpatrywali... Potem poprosił o głos jakiś student — wstał, chrząknął i bohatercko zapytał z determinacją „To w kogo ja mam się teraz wpatrywać?” Otóż myślę, że i ja mogłabym o to samo zapytać (nawet bez chrząknięcia) jak i prawie każdy człowiek z różnych zresztą zawodów.

— Czy odczuwa Pani niedostatek wielkiego repertuaru dramatycznego na naszych scenach?

— Odczuwam niedostatek i niedostatki, i braki wykonawców... Trzeba jednak umieć grać ten repertuar i wiedzieć co to jest dźwięk, intonacja głosu, wymowa... Ten wielki repertuar rol się od królów, książąt i nie nadaje się, niestety, do demokratyzacji wymowy, tak jak i wszelkie sztuki poetyckie.

— Czego więc potrzeba polskiemu teatrówi dziś, pod koniec lat osiemdziesiątych?

— Zawodowego teatru, zawodowych aktorów z większego zdarzenia, odwrotu od teatru świetlicowego w teatrze zawodowym, pominiawszy nawet aktorские „warunki”. Zewnętrzne i wewnętrzne.

— Największa Dama polskiej sceny zagrała około 100 ról teatralnych — to chyba niewiele. Czy miała Pani jakies przykrości i trudności w teatrze?

— Było tego do licha i trochę — w walkach w tym Grójcu, jak to się nazywa. Przedtem, jak i teraz, nie używam łokci ani własnych, ani innych ludzi ku pomocy w rozpychaniu się.

— Czy Pani — która miała właściwie tylko same entuzjastyczne recenzje — zdarzało się jednak odczuwać niepokój, że można było zrobić coś lepszego?

— Oczywiście tak! Ale to bardzo przykre, takie smutne uczucie, gdy nie można już „lepiej”, takli kres w założonym przez autora świecie... Niezadowolenie towarzyszy aktorowi chyba często (zadowolenie odczuwa się tylko wtedy, gdy przeskoczy jakąś wielką trudność — może to rodzaj sportu?). Takie uczucie ma chyba każdy jakoś tak normalny człowiek bez zdarzających się teraz nagminnie klinicznych objawów zaślepienia. Samokrytycyzm! Oto rozsa-dek

— A którą ze swych ról ceni Pani najbardziej?

— Muszę rolę lubić, żeby móc ją zagrać... więc lubię je. Cenię oczywiście tzw. wielki repertuar — może przez mękę poprawiania przekładów, zwłaszcza pisanych językiem dziewiętnastowiecznym, całkowicie niezrozumiałym! Sensu uchwycić nie sposób... Często pomagali mi łaskawie wielcy znawcy przedmiotu — kiedyś ratował mnie jeśli chodzi o Greków — nasz mędrzec Sandauer. I naturalnie Horzycy. Pozostały w pamięci piękne, piękne czasy...

— Używała Pani swego głosu radu. W tej pracy również zetknęła się Pani z wybitnymi ludźmi...

— Pracowałam istotnie chyba w najlepszym okresie teatru radia, ze znakomitymi zresztą reżyserami — najczęściej ze Zbigniewem Kopalko. Znał się



świetnie na literaturze, na muzyce, zawsze były piękne jego opracowania, wielkiego repertuaru zwłaszcza.

— Radio w odróżnieniu od innych środków przekazu nie daje popularności, a jednak największ, czego Pani jest dowodem, chętnie z radiem współpracowali. Radio musi więc mieć jakąś tajemną moc — na czym ona polega?

— Tak, istotnie — zawsze lubiłam i lubię radio. Ciekawa praca — tylko głosem! Nie myślało się o popularności — ten problem jakoś nie istniał — zresztą radio daje ową „popularność”. Ja słucham stale zwłaszcza muzyki — koncerty są znakomite —ho i Weber! Znam wiele osób, które się cieszą, że radio nas tak „dokształca” i to w wielu dziedzinach.

— Jakie miejsce w Pani sztuce zajmuje — nazwijmy to — aktorstwo radiowe?

— Chyba bardzo ważne — grałam w radiu wiele sztuk, których zupełnie nie mogłam zagrać w teatrze ze względów „personalnych”!

— Teraz usłyszymy Panią w „Pięciu listach miłosnych” wg „Listów portugalskich” G. J. de Guilleraguesa, arcydziele literatury francuskiej z XVII wieku. Te „Listy” przez 300 lat uchodziły za autentyczne listy miłosne, a nie utwór

literacki. Co zdecydowało, że zgodziła się Pani na ich interpretację?

— Przypomniało mi to „Fedre” Racine'a, ulubioną pracę Horzycy (i moją) — jakaś tajemna więź widocznie je łączy. A po wtóre — znakomity przekład polski Danuty Danek, właśnie czyta się te listy, jakby były napisane po polsku! Zawsze miałam świetnych profesorów — uczyli, że przekład tylko wówczas jest dobry, gdy dzieło robi wrażenie, że zostało napisane po polsku. Tyle szczęścia naraz wystarczyło mi.

— Kobieta tak piękna jak Pani z pewnością była obsypywana listami oczywiście miłosnymi? Czy można prosić o chwilę wyznań?

— Doprawdy nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek otrzymała taki list (oprócz tych od najbliższych, oczywiście). Kilkakrotnie otrzymałam wiersze, to prawda — z żartobliwymi dedykacjami, i to zupełnie nie miłosnymi! Wyznażę z żalem...

Rozmawiała

GRAZYNA LENART-BARTUSZEK

„Zmyślone czy prawdziwe — i dlaczego współczesne” — aud. Iwony Malinowskiej i Danuty Danek (zawiera monodram „Pięć listów miłosnych” wg utworu Gabriela Józefa de Guilleraguesa w przekładzie Danuty Danek, w adaptacji i wykonaniu Ireny Eichlerówny). PR IV. 19 kwietnia godz. 23.00.

Fot. Janina Nasterowska